

Furia błękita jak ogień

Zgasły dla nas
nadziei
promienie
I zorza nie
świeci nam blada
We krwi wrogów
utopmy pragnienie
Jak łaknących
upiorów gromada



Andrzej W. Sawicki

RW2010

ANDRZEJ W. SAWICKI
FURIA BŁĘKITNA JAK OGIEŃ

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2016

Redakcja: Joanna Śłużyńska

Korekta: Maciej Śłużyński

Redakcja techniczna: zespół RW2010

Copyright © Andrzej W. Sawicki 2016

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2016

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2016

e-wydanie I

ISBN 978-83-7949-182-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

[Kup książkę](#)

*Zgasły dla nas nadziei promienie
I zorza nie świeci nam blada.
We krwi wrogów utopmy pragnienie,
Jak łaknących upiorów gromada.*

Wł. Wolski, *Marsz Żuawów*, 1863 r.

14 marca 1863

Tropy nie zdążyły się nawet rozmazać w błocie, nie przysypał ich śnieg ani nie zataił deszcz.

Major Michaił Aleksandrowicz Ebeling poprawił się w siodle. Jako wytrawny piechur nie przepadał za konnymi przejażdżkami, szczególnie w taką pasudną pogodę i w dodatku gdy wycieczka ciągnęła się w nieskończoność. Uganianie się po pustkowiach za polskimi buntownikami to robota dobra dla kozaków, a nie carskiego żołnierza. Obrócił się w tył, by spojrzeć na swoją rotę piechoty z kieleckiego garnizonu. Żołnierze z zaciętymi minami maszerowali podwójnym krokiem, a ich buciory energicznie rozbryzgiwały błoto zmieszane ze śniegiem. Wiedzieli, że przeciwnik jest blisko i wkrótce wreszcie będzie okazja, by podziękować mu za wysiłek całonocnego marszu.

Za piechurami jechał szwadron dragonów, który dziś też podlegał Ebelingowi. Prócz tego w lesie powinien znajdować się półszwadron Dońców. To kozacy zlokalizowali buntowniczą formację, o której wcześniej dawali znać miejscowi konfidenti i carscy lojaliści. Polskich buntowszczyków trudno było wytropić w wyludnionych lasach kieleckiego. Powstańcze partie pojawiały się i znikwały bez śladu, a po rozbiciu rozpierzchały się, by znów, niczym feniks z popiołów, się uformować, dlatego zdaniem Ebelinga każdy złapany powinien zostać na miejscu pchnięty bagnetem lub powieszony. Taką taktykę popierał również głównodowodzący radomskim okręgiem generał Uszakow i zgodnie z nią postępowano wobec buntowników.

Niespodziewanie las się skończył i kolumna wojska wymaszerowała na otwarte pole, przykryte pojedynczymi łachami topniejącego śniegu. Zbliżali się zatem do ludzkich siedzib, gdzie z pewnością ukryły się dziś polskie oddziały. Zapewne powstańcom wydawało się, że mogą swobodnie panoszyć się po tere-

nie i są tutaj względnie bezpieczni. Może rozłożyli się obozem we wsi, szukając w niej prowiantu i chwili wytchnienia. Nic z tego, panowie. Za chwilę runą na was dwie formacje carskiego wojska.

Ebeling nie zamierzał bawić się w wysyłanie podjazdów i oskrzydlenie wroga. Wpadnie do wioski z marszu i rozbije bandę, a wyłapaniem niedobitków zajmą się kozacy. Potem szybko wróci do Radomia, do ciepłej kwatery, w której czeka chętna do dzielenia się własnym łóżem rumiana gospodyni.

Folwark wyłonił się spomiędzy drzew już po paru minutach marszu. Jego sercem był sporych rozmiarów szlachecki dworek, z charakterystycznym gan-kiem z kolumnami, a po bokach tkwiły rozrzucone chaotycznie chałupy i budyn-ki gospodarcze.

Ebeling odwrócił się do maszerującego za nim podporucznika.

– Rozwińcie rotę do ataku na bagnety – rozkazał krótko młodemu oficerowi. – Ja wpadnę z dragonami do dworu i wypłoszę buntowników, wy zajmiecie się resztą. Co macie taką minę, Konczacki? Wreszcie się doczekaliście okazji, by posmakować wojny! Przeciwnik jest gównie warty, ale lepsze to niż nic. W Petersburgu będziecie mogli się chwalić, że prowadziliście wojsko do bitwy.

Podporucznik skinął nerwowo głową. Młokosowi wąs ledwie się sypnął, bitwy i potyczki znał jedynie z książek i opowieści, ale marzył o prawdziwej walce i czekał na nią, odkąd postanowił rozpocząć karierę żołnierza. Okazało się jednak, że uśmierzanie polskiego buntu sprowadza się głównie do czekania w koszarach i nieskończonych przemarszów. Ku rozżaleniu Konczackiego nad-wiślańska kampania nie miała za grosz epickiego rozmachu i nie dawała szans na zdobycie chwały i sławy.

Major Ebeling spiął konia i pognął na czoło szwadronu dragonów. Zamie-nił kilka słów z ich porucznikiem, a ten skinął trębaczowi i sięgnął po szablę. Po

chwili rozległ się głos trąbki, wzywający do ataku. Konczacki oparł dłoń o rękojęść pistoletu i machnął do feldfebla.

– Bagnet na broń, ustawić się w tyralierę!

Kolumna piechoty rozsypała się, przeformowała w błocie i śniegu. Zachręściły przypinane bagnety. Dragoni minęli ją galopem i pobrzękując szablami, pognali w kierunku dworu. Prowadził ich major Ebeling.

Oficer wreszcie poczuł, że krew zaczyna mu żwawiej płynąć w żyłach, i uśmiechnął się pod wąsem. Wyciągnął rewolwer. Zaraz wpakuje pierwszą kulę w jakiegoś przerażonego oberwańca lub robiącego w gacie chłopa z kosą osadzoną na sztorc. Śmierci i krwi! Tego mu trzeba po nieprzespanej nocy, by poczuć, że żyje.

Kilka rozgdakanych kur rozpierzchło się w popłochu, gdy wjechali na podwórze przed dworem. Błoto i kałuże rozpryskiwały się pod kopytami, lecz buntownicy nie zorientowali się jeszcze, że nadeszła ich zagłada. Nie wybiegali z budynków w panice, nie uciekali jak kury na wszystkie strony. Na ganku dworu stała samotna postać – drobna, ruda dziewczyna w kożusku i zbyt wielkich męskich buciorach. Major spojrzał na nią zdumiony. Czyżby jednak się pomylił i buntownicy ruszyli dalej, ominąwszy folwark? Ściągnął wodze i schował rewolwer do kabury. Dragoni zwolnili, lecz część z nich nadal trzymała w ręku szable lub karabinki kawalerii gotowe do strzału.

Ebeling zmierzył groźnym spojrzeniem pannicę, stojącą nieruchomo na ganku. Dziewczyna, nie dość, że ogniście ruda, była w dodatku potwornie piegowata. Jasnymi oczami patrzyła wyzywająco na oficera. Ręce trzymała w kieszeniach kożuszka.

– Gdzie są buntownicy? – spytał krótko major. – Wiem, że weszli do wsi.

– Nie ma tu żadnych buntowników – odparła po polsku.

Głos jej drżał i słowa zdawały się z trudem przeciskać przez zaciśnięte gardło.

„Boi się” – pomyślał z zadowoleniem major. Jej strój niestety zdradzał, że jest członkinią partyzanckiego oddziału. Pewnie została we dworze z rannymi powstańcami, kiedy reszta oddziału ruszyła dalej.

Oficer zazgrzytał zębami. Prawdziwa zdobycz się wymknęła. W łapy wpadła mu jedynie sanitariuszka i pewnie kilku pokiereszowanych buntowników. Zakłuje się ich bagnetami, chłopcy zabawią się z dziewczyną. Można jeszcze złupić i spalić dwór w ramach represji za udzielanie pomocy i schronienia buntownikom. Dobrze i to. Pościg za bandą trzeba będzie odłożyć do jutra, teraz żołnierzom należy się trochę zabawy. Pozwoli im pomęczyć rannych i ograbić dwór.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni zaciśnięte pięści i zamknęła oczy.

Wanda Szczurówna rzeczywiście była sanitariuszką, jedyną w oddziałach majora Jana Jemioły, oficera specjalnego, wykonującego w świętokrzyskim tajną operację na zlecenie powstańczego Naczelnika Warszawy. Pochodziła z ubogiej rodziny żydowskiego szewca, a do buntowników przyłączyła się po tym, jak ci na jedną noc odbili z rosyjskich rąk jej rodzinne miasteczko. Niepozorny wygląd Wandy mógł wprowadzać w błąd, ale choć liczyła ledwie siedemnaście lat, a w walce brała udział raptem od dwóch miesięcy, była weteranem.

Bardzo groźnym weteranem.

Zacisnęła powieki, pozwalając, by tętent buzujący w umyśle wdarł się do świadomości i wypełnił jej krew mocą. Chlupot końskich kopyt w błocie, dzwonięcie rynsztunku, rosyjskie przekleństwa, pomruk nadciągającej rotacji – wszystkie dźwięki zlały się w jedną kakofonię, która narastała, pięła się i cisnęła do gardła strumieniem energii.

Wanda otworzyła oczy i wrzasnęła.

Ryk uderzył w skłębionych na podwórzu dragonów. Ebeling poczuł potworne, wywracające wnętrzności uderzenie w pierś. Kurczowo uchwycił się lęku i skulił, mrużąc oczy. Wierzchowiec zarżał z przerażenia, nogi się pod nim załamały i runął na bok, w lodowate błoto.

Światem wstrząsnęło wyładowanie mocy. Krzyk poderwał strumień wody i śniegu, cisnął wprost w żołnierzy. Dragoni spadali z siodła, konie przewracały się z kwikiem.

Nim nieziemski dźwięk zdążył przebrzmieć, wszystkie okna w dworze się otworzyły i wysunęły się z nich lufy karabinów. Zagrzmiała salwa, przedłużając huragan dźwięku. Kule wgryzły się w ludzkie i końskie ciała. Bryzgała krew.

Z drzwi dworku wybiegli powstańcy: mężczyźni w różnym wieku, ubrani w kozuski lub robotnicze kapoty, w chłopskie sukmany i długie, zimowe płaszcze. Większość dzierżyła wojskowe karabiny, kilku miało myśliwskie strzelby. Wanda odsunęła się i usiadłaby ciężko na ziemi, gdyby w ostatniej chwili nie złapał jej młody lekarz – doktor Loewenhardt. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego blado. W jej oczach płonęło uwielbienie, kiedy medyk wciągał ją do środka i sadzał pod ścianą.

Powstańcy, którzy wypadli z dworu, ustawili się w dwusereg. Pierwszy rząd uklęknął. Z boku kolumny strzelców stanął niepozorny osobnik w przekrzywionej konfederatce. Major Jemioła nosił rozpięty płaszcz, a pod nim amerykańską, skórzaną kamizelkę. Na biodrach miał pas z nabojami i kaburami coltów Paggy i Daisy – dwóch ślicznotek, które awanturnik przywiózł zza oceanu.

– Cel! Ognia! – zakomenderował.

Gruchnęła kolejna salwa. W krwawe błoto na podwórzu padły następne ciała, kopiąc i drgając w agonii. Dragoni wrzeszczeli, gdy przebijały ich polskie

pociski, ktoś wył z przerażenia i bólu. Kilku rzuciło się pieszo do ucieczki, na przeciw nadchodzącej rocie piechoty, żadnemu bowiem nie udało się zapanować nad wierzchowcem – konie wpadły w popłoch po uderzeniu mocy i większość ocalałych zwierząt pogalopowała w dal. Tylko te ranne i pokiereszowane pociskami kwiczały upiornie.

– Ładuj! – rozkazał Jemioła.

Nie chciał prowadzić ludzi do walki wręcz, skoro mógł po prostu wystrzelać Moskali. Wszyscy powstańcy, zarówno ci zgromadzeni na podwórzu, jak i ci tkwiący w oknach dworu, zabrali się do sypania prochu w lufy.

Major Ebeling poderwał się z ziemi. Ostrzał przetrwał bez draśnięcia, schowany za swoim powalonym wierzchowcem. Bolała go kostka, przygnieciona w chwili upadku, ale nadal trzymał się na nogach. Rozejrzał się po pobojuwisku i przeklął wściekle. Co za pech, że nadziali się akurat na polską wiedźmę! Ruda pannica była odmieńcem, to nie podlegało dyskusji. Gdyby nie ona, zmasakrowaliby tę bandę oberwańców bez kłopotów, a teraz pół jego szwadronu konało w krwawej brei na podwórzu, podczas gdy drugie pół uciekało w popłochu.

– Stać! Do mnie! – ryknął, wyciągając rewolwer. – Szwadron, do ataku!

O dziwo, dragoni, którzy nie zdołali daleko odbiec, zawrócili. Kilku nawet wystrzeliło z karabinków. Z błota podnieśli się lżej ranni i sięgnęli po broń.

Major się uśmiechnął. Nie tak łatwo pokonać carskich żołdatów. Nie wystraszy ich jedna wiedźma i dwie salwy. Wypatrzył wśród mocujących się z bronią buntowników ich dowódcę. Spotkali się wzrokiem i przez sekundę lub dwie mierzyli spojrzeniami. Ebeling wycelował broń w przeciwnika.

Jemioła sięgnął do kabur szybciej, niż zdołało to uchwycić oko. Wystrzelił z obu luf, nie celując ani nawet nie unosząc broni. Palił z biodra.

Major Ebeling nie zdążył pociągnąć za spust. Dwa pociski trafiły go w pierś, trzeci przeorał skórę na skroni i ześliznął się po czaszce. Broń wypadła mu z ręki. Straszliwa niemoc pociągnęła go w dół i cisnęła w błoto.

– Kompania, ognia! – rozkazał Jemioła.

Kolejna salwa zdziesiątkowała szeregi dragonów i ocaleni ponownie rzucili się do ucieczki, porzucając rannych kolegów.

– Szykować bagnety! – zakomenderował powstańczy major.

Szybkim krokiem zbliżała się rota piechoty. Ustawieni w luźną tyralierę, szli rażno z karabinami uniesionymi do ataku. W bezpośrednim starciu moskiewscy piechurzy z pewnością okażą się groźniejsi niż zaskoczeni i ostrzelani dragoni. Jemioła skinieniem przywołał ludzi, tkwiących na stanowiskach we wnętrzu dworku. Powstańcy skakali przez okna, część zakłębiła się przy drzwiach. Po chwili jednak blisko dwustu mężczyzn ustawiło się w szereg na podwórzu. Mieli przewagę liczebną, bo Rosjan pozostała zaledwie setka z okładem.

Podporucznik Konczacki wahał się. Dowódca zabity, porucznik dragonów diabli wiedzą gdzie, a przed dworkiem tkwiła cała chmara buntowników. Co robić, do diabła? Pierwsza jego bitwa, przejął dowodzenie nad oddziałem i miałby tak po prostu uciec? Nigdy! Jego honor, honor carskiego oficera na zawsze zostałyby zbrukany. Nie wycofa się przed bandą oberwańców. Rota z doborowego Pułku Pawłowskiego rozgniecie ich z marszu.

– *Rebiata, wperiod!* – wrzasnął na całe gardło.

Wyszło jakoś cienko i żałośnie słabo, ale przynajmniej podoficerowie posłuchali. Rozkaz podporucznika natychmiast powtórzyli dwaj feldfeble. Ich dud-

niące, mocne głosy dodały mocy jego słowom i piechurzy rzucili się biegiem do ataku.

– Uraaaaa! – poniosło się nad polskimi polami.

– Bić skurwysynów! – gdzieś z boku, od strony wsi zagrział złowrogi ryk.

Spomiędzy chałup, prostopadle do szeregów atakującej rot, wybiegła chmara mężczyzn. Większość nosiła chłopskie kapoty i rogatywki na głowach. Niektórzy zamiast karabinków ściskali w rękach osadzone na sztorc kosy. Prowadził ich wielkolud ze zmierzwioną brodą i wyszczerzonymi w szale zębami – porucznik Pliszka, który dowodził kompanią kosynierów, obecnie częściowo uzbrojoną w broń palną.

Chłopi jednak nie strzelali, tylko wpadli na Moskali z boku, zamierzając wybić ich w bezpośredniej walce. Pliszka ryczał i wymachiwał kosą w szalonym młynku. Ostrze broni z gwizdem cięło powietrze, rozmazując się w srebrzystą smugę, aż wreszcie trafiło rosyjskiego piechura, który próbował zablokować je uniesionym karabinem. Kosa przecięła broń i rąbnęła żołdata na wysokości obojczyka. Cięcie gładko rozrąbało bark nieszczęśnika i krew z przeciętych tętnic trysnęła wprost na twarz wściekłego kosyniera.

– Wolny ogień! – wrzasnął przerażony Konczacki.

Wypalił z pistoletu w nadbiegający tłum. Jego pocisk trafił jednego z chłopów w brzuch i powalił na ziemię. Piechurzy zatrzymali się i obrócili ku nowym przeciwnikom, po czym wystrzelili z karabinów i ruszyli do ataku na bagnety. Nierówna salwa nieco przerzedziła tłum atakujących powstańców, ale ich nie powstrzymała.

W tej samej chwili Jemioła poderwał do ataku swoją kompanię i Rosjanie znaleźli się w kleszczach. Z dwóch stron runęły na nich znacznie liczniejsze od-

działy. Piechurzy, ponaglani wrzeszczeniem feldfebli, zbili się w gromadę, opierając o siebie ramionami. Z wyciągniętymi karabinami z bagnetami przypominali stalowego jeża. Konczacki, popchnięty przez jednego z sierżantów, znalazł się w środku szyku. Mogliby się teraz bronić godzinami, a nawet wystrzelać buntowników. Podporucznik już się widział triumfującego z krzyżem świętej Anny, przypiętym do szabli.

– Ogień rotowy! – rozkazał przytomnie.

Żołnierze znajdujący się w środku szyku zaczęli szybko ładować broń. Po jej nabiciu przekażą ją stojącym bliżej lub w pierwszym rzędzie i odbiorą od nich karabiny do ponownego nabicia. W ten sposób rota mogła prowadzić nieustanny ostrzał wroga, bez przerw na nabijanie.

Jemioła zobaczył, co się święci. Wystrzelił z rewolweru, kładąc trupem trzech Moskali. Nic więcej nie mógł zrobić.

– Pliszka! – krzyknął do wielkoluda. – Uderzaj! Trzeba przełamać szyk!

Porucznik kosynierów splunął wściekle i jeszcze szerzej wyszczerzył zęby. Jego sylwetka zdawała się rosnąć. Oczy straciły naturalną barwę i błysnęły żółcią niczym ślepie wilka. Ku przerażeniu Konczackiego twarz odmienca jęła tracić ludzkie rysy, a powietrze wokół jego sylwetki sypnęło snopem iskier. Potężnego chłopca ogarnęła moc, w jednej chwili zmieniając go w bestię.

Kosynier ryknął potężnie, unosząc obie ręce. Teraz jego postać zdecydowanie górowała nad polem bitwy i wyglądał niczym prasłowiański demon, otoczony sięgającymi mu do ramienia wojownikami. Wyszczerzył wilcze kły i runął na oniemiałych ze zgrozy Rosjan.

Podporucznik Konczacki drżącą ręką dobył szabli. Niech to diabli, kolejny odmieniec! Zatem natknęli się na osławioną bandę Jemioły – przeklętych renegeatów, sprzymierzonych z ludźmi o zepsutej krwi. To oni rozbili oddziały puł-

kownika Dobrowolskiego w bitwie o Małogoszcz, a potem zniknęli bez śladu, by pojawić się właśnie tu. Dlaczego, u licha, na początku kariery trafił właśnie na nich?!

Widział podnoszące się i opadające ostrze kosy, które ciągnęło za sobą strumienie posoki. Smugi czerwieni leciały wysoko w niebo, by spadać na Moskali krwawym deszczem. Potworny krzyk mordowanych przez wściekłego odmieńca żołnierzy zlał się z trzaskiem gruchotanych kości i łamanych karabinów. Konczacki westchnął, z gardła wyrwało mu się płaczliwe miauknięcie. Potwór mordował jego rotę.

– Strzelajcie do bydlaka! Na co czekacie?

Ciasny szyk zaczął się łamać. Piechurzy rozpięchli się, by uniknąć skapanego we krwi potwora. Jeden z odważniejszych pchnął go bagnetem, trafiając w udo, ale rana nie zrobiła na Pliszce najmniejszego wrażenia. Rąbnął przeciwnika i trafił w jego karabin. Tym razem ostrze kosy zazgrzytało o żelazną lufę i zamiast ją przeciąć odłamało się przy samym drzewcu. Kosynier cisnął bezużyteczną broń i rycząc, ruszył przeciw żołdatom z gołymi rękoma.

Konczacki wyczuł moment. Teraz może stać się bohaterem! Może własnoręcznie usieć odmieńca! Z krzykiem ruszył na olbrzyma i ciął go szablą. Wielkolud wygiął się w tył, w niemożliwym uniku. Ostrze rozplatało tylko połę jego kapoty i otarło się o pierś. Ułamek sekundy później wielka łapa spadła na ramię oficera i zablokowała je w uścisku. Drugą ręką Pliszka złapał Moskała za udo. Konczacki poczuł, jak potężna siła podrywa go w powietrze. Spadł z impetem, uderzając kręgosłupem o wysunięte kolano odmieńca. Przeszywający ból pchnął podporucznika w ciemność.

Pliszka odrzucił przełamanego na pół trupa Konczackiego i splunął krwią na ziemię. Powstańcy ostatecznie rozbili wrogie szyki i teraz bez litości mordo-

wali piechurów. Krzyki i chrzęst bagnetów wdzierały się do umysłu kosyniera. Pachniało krwią, smrodem wyprutych wnętrzności i mokrą ziemią. Odmieniec odetchnął ciężko i pozwolił, by moc go opuściła. Czuł, jak paruje, jak pozbawia sił. W ustach został mu tylko smak migdałów i kurzu. Usiadł ciężko w błocie. Musiał odpocząć.

Chłopak jechał na oklep, trzymając się końskiej grzywy. Wypadł na półsotnię kozaków w pełnym galopie i mimo prób nie zdołał zawrócić wierzchowca. Przemknął między zaskoczonymi jeźdźcami i pognałby dalej, gdyby nie przytomność umysłu jednego z Dońców. Po prostu pchnął mijającego go młokosa, zrzucając go w ten sposób z końskiego grzbietu. Dowodzący oddziałem esauł Danił Wasilewicz Krasnow nagroził żołnierza łaskawym skinieniem głowy. Kozak uśmiechnął się z zadowoleniem. Wiedział, że w koszarach będzie mógł liczyć na dodatkową porcję gorzałki.

Złapany miał może czternaście lat, był chudy, ubrany w lichą kapotę i podarte spodnie – ani chybi parobek z folwarku. Jako że z oddali dobiegały odgłosy wystrzałów, esauł domyślił się, że major Ebeling dopadł buntowszczyków i urządził im ogniste powitanie. Szczeniak został zapewne wysłany, by kogoś ostrzegł lub zameldował o ataku Moskali. Czyżby w okolicy znajdowała się jeszcze jedna banda? Krasnow podrapał się po bliźnie na brodzie. Musiał to sprawdzić, już taki psi los zwykłego kozaka.

Pochylił się nad dzieciakiem i złapał go za kapotę, a potem uniósł. Przerażony szczeniak znalazł się twarzą w twarz z kozakiem wyglądającym niczym stwór z kosmaru. Esauł miał gębę poznaczoną bliznami, a na oczodole po utraconym oku nosił czarną przepaskę. Wysoka bermyca przekrzywiła mu się na

głowie, jedyne oko, bystre i błyszczące lodowatym złem, łypało na ofiarę z uwagą.

– Dokąd to jechałeś, chłopczyku? – spytał po polsku.

– Do mojej chorej babuszki, panie oficerze – wydukał dzieciak.

Krasnow cisnął go ze złością, chłopiec poleciał z krzykiem przerażenia w krzaki. Esauł zeskoczył z siodła niczym błyskawica, dopadł malca i kopnął go wściekle w brzuch. Złapał jęczącą ofiarę za włosy i postawił na nogi.

– Gdzie buntownicy? – syknął. – Gadaj, bo poczujesz, co potrafią kozackie nahajki! Szybciej, szkoda mi czasu!

– Nic nie powiem. – Chłopiec się rozplakał.

Krasnow skinął jednemu z kozaków i odwrócił się ze złością. Żołnierz wyciągnął nahajkę i nie schodząc z siodła, wymierzył nią kilka ciosów wrzeszczącemu dzieciakowi. Esauł wetknął w usta zwinięty liść tytoniu i zaczął żuć nerwowo. Powinien szybko skończyć przesłuchanie i pognać do folwarku, by wyłapać uciekające niedobitki buntowników. Naprawdę nie miał czasu na zabawy. Jeśli się spóźni, major Ebeling z pewnością złoży na niego raport. Ci nadęci paniczycowowie nie przepadali za kozakami. Nie rozumieli potrzeby wolności, drzemającej w każdym Dońcu, oraz tego, że posłuszeństwo regulaminom, punktualność i wierne wypełnianie rozkazów kłóci się z naturą kozaka.

Poza tym Krasnowowi od dawna należał się awans, a nie dojdzie do niego, jeśli rozgniewany major złoży skargę. Trzeba będzie zatem darować sobie przesłuchanie i poszukiwania drugiej buntowniczej bandy. Strzyknął przez zęby śliną i uniósł dłoń, przerywając bicie.

– I co, chłopcze, przypomniałeś coś sobie? – spytał szczeniaka.

– Jechałem do babuszki – wycedził chłopak, ocierając nos i załzawione oczy.

Krasnow dał sugestywny znak, przejeżdżając dłonią po gardle. Niemal natychmiast na szyję młodego Polaka spadła pętla. Dońcy wozili sznury przy siodłach, bo często przydawały się przy spotkaniach z buntownikami. Odpowiednio zawiązana linka błyskawicznie zacisnęła się na szyi szczeniaka, a jej drugi koniec został przerzucony przez konar najbliższego drzewa. Obsługujący sznur kozak pogonił konia. Dzieciak nie zdążył nawet pisnąć, gdy lina szarpnęła i poderwała go w górę. Po chwili bujał się kilka stóp nad ziemią, bezskutecznie próbując poluznić pętlę. Jego twarz zrobiła się czerwona, a po chwili purpurowa.

Esauł znów splunął czarną od nikotyny śliną i wskoczył na siodło. Już miał wydać nietypowy rozkaz wykonującemu wyrok kozakowi, by szarpnął liną i skrócił cierpienia małego gnojka, ale zanim zdążył coś powiedzieć, jego wzrok padł na samotną postać, która wychynęła z lasu. Wysoki, postawny mężczyzna w polskim krótkim kozuchu podbitym futrem i w robotniczym kaszkiecie jak gdyby nigdy nic szedł ku nim zdecydowanym, szybkim krokiem. U pasa nosił oficerską szablę, pewnie zdobytą na Moskalach. Gdyby nie gęste, czarne bokobrody, przystrzyżone na rosyjską modłę i ewidentnie wojskowa postawa, wyglądałby jak typowy dowódca buntowników. Dezerter, który przyłączył się do powstańców? To się ponoć zdarzało.

Krasnow sięgnął po pistolet i rozejrzał się czujnie. Wokół rozciągał się rzadki liściasty las, o tej porze roku zupełnie łysy. Nie mogła się w nim ukryć żadna grupa buntowników, przybysz był więc sam. Jakby wyczuwając obawy kozaka, buntownik uniósł uspokajająco rękę i się zatrzymał. Kilku otaczających esauła żołnierzy zdjęło karabinki z pleców, reszta chwyciła mocniej spisy, gotując się do szarży.

– Nie radzę, dobrzy ludzie – przybysz odezwał się nienagannym rosyjskim.
– Przybywam rozmawiać, nie chcę walki. Mam dla was propozycję, atamanie. Dla ciebie i twoich chwatów. Nie będziecie stratni, obiecuję.

– Porozmawiam z miłą chęcią, ale na moich warunkach – warknął Krasnow. – Brać go!

Sześciu kozaków spięło konie i runęło na przybysza. Kilku uniosło karabinki do oka, pozostali pilnie się rozglądali, szukając wzrokiem ukrytych buntowników. Rosjanin przebrany za polskiego powstańca uśmiechnął się groźnie. I znikł.

Konie pod pierwszymi dwoma jeźdźcami nagle runęły na ziemię. Ich sierść w jednej chwili poszarzała, naprężone mięśnie skurczyły się i zwiotczały, skóra napięła się na kościach. Zwierzęta nawet nie zakwiliły. Padły na ziemię jako dwa z mumifikowane trupy. Dosiadający ich kozacy jednym głosem wrzasnęli z przerażenia. Ich wierzchowce zmieniły się w mające setki lat truchła.

Krasnow zaklął pod nosem. *Oboroten!* Odmieniec! I to cholernie potężny.

– Opuśćcie broń, a ty, atamanie, wysłuchaj, co chcę ci zaproponować.

Mężczyzna znów się pojawił. Teraz stał kilka kroków od esaula, w niedbalej pozie i z rękoma splecionymi na piersi. Opierał się ramieniem o pień starej topoli. Kilka kroków obok młody buntownik bujał się na stryczku i kopał nogami powietrze, walcząc o życie. Odmieniec nie zwracał na niego uwagi.

Krasnow odciągnął kurek w pistolecie, sprawdził kciukiem, czy kapiszon leży na kominku broni. Strzelić? A jeśli ten demon okaże się szybszy? Kozak już zgadł, kim jest ów jegomość. To Teofil Teofilowicz Pustowójtow, sztabkapitan piechoty z radomskiego garnizonu. Zdezerterował ponad miesiąc temu, a za jego głowę wyznaczono nagrodę, będzie z tysiąc rubli. Okazja nie do pogardzenia, tylko że ponoć Pustowójtow należał do odmieńców najgorszego sortu

– skrajnie niebezpiecznych. Walka z nim mogła naprawdę źle się skończyć nawet przy stosunku sił pięćdziesięciu na jednego.

– Czego chcesz, sztabskapitanie Pustowójtów? – spytał esauł.

Teofil zaklął w myślach. Słyszał o tym, że odmieńcy z formacji Jemioły stali się sławni po swoich wyczynach w bitwie o Małogoszcz, ale nie spodziewał się, że aż tak bardzo. Było mu to trochę nie na rękę. Ciągłe jeszcze nie zdecydował, czy na pewno chce poprzeć polską sprawę. Wolałby zachować możliwość manewru i w razie czego wrócić w szeregi carskiej armii, zwłaszcza że po prawdzie przyłączył się do powstańców jako szpieg, wysłany przez naczelnika Urzędu Przemian Pawła Iwanowicza Tichona. Miał za zadanie inwigilować szeregi wroga i neutralizować polskich odmieńców, ale zamiast tego dał się porwać polskiej wolnościowej euforii i zaprzyjaźnił się z prostymi żołnierzami powstańczych oddziałów. Ciągłe jednak się wahał – porzucić polskich kompanów czy ryzykować dla nich życie?

– Chcę złożyć ci intratną propozycję, Krasnow. – Teofil uśmiechnął się nieznacznie.

Też rozpoznał swego rozmówcę, choć wcześniej nigdy go nie spotkał. Słyszał o groźnym atamanie, który ze względu na pochodzenie nie robił należytej kariery w armii. W tym się właściwie nie różnili, Pustowójtów był bowiem synem polskiej hrabianki i rosyjskiego generała, któremu domieszka polskiej krwi spowalniała awanse i zapewniała najgorsze możliwe przydziały. Nieszczęścia dopełniła jego nawiedzona siostrzyczka Henia, która w kilka lat stała się najbardziej znaną polską awanturnicą, walczącą z caratem. Skandale w wykonaniu siostry ostatecznie zamknęły Teofilowi drogę do wysokich szlifów i stołka w petersburskim sztabie. Mógł jedynie dalej służyć jako podrzędny oficerek i szpie-

gować dla Urzędu Przemian lub walczyć za polską sprawę, z góry skazaną na przegraną.

Kozak łagodnym ruchem wymierzył w niego pistolet. Poza tym kilkunastu kozaków mierzyło do Pustowójtowa z karabinków, a pozostali nieznacznie rozsuwali się i przesuwali, by oskrzydlić intruza.

– Jaka to propozycja, sztabskapitanie? Niezwykle ciekawym. – Esauł strzyknął śliną.

– Przybywam tu jako reprezentant Tymczasowego Rządu Narodowego – skłamał gładko Pustowójtow. – Przejdźcie na naszą stronę, wypowiedzcie wierność carowi. Niech Dońcy walczą ramię w ramię z Polakami. Po zwycięstwie dostaniecie pełną autonomię, niezależne państwo na Ukrainie. Na czas starcia z Imperium otrzyma pan stopień generała kawalerii i obejmie dowództwo nad całą powstańczą jazdą, a po podpisaniu pokoju zostanie feldmarszałkiem armii ukraińskiego państwa, hetmanem kozackim.

Krasnow wybuchnął śmiechem. Zawtórowały mu rechoty części półszwadronu.

Kozacy nieznacznie zbliżali się do Pustowójtowa. Chłopak dyndający na gałęzi przestał się miotać i już tylko drgał w agonii.

– Pańska oferta jest niepoważna – odparł esauł. – Zastanowiłbym się, gdyby poparły ją jakieś naprawdę znaczące argumenty. Niestety nie mam zamiaru popełniać samobójstwa, walcząc o coś niemożliwego.

Teofil skinął głową. Zapanował nad falą złości. Czuł przemożną chęć, żeby sięgnąć po moc i wyssać z tych durniów cały ich czas. Zanim który by mrugnął, zamieniliby się w klekoczącą kupę starych kości.

– Ile? – spytał wprost.

– Chce nas pan przekupić? Chce, żebyśmy za garść złotych złamali wojskową przysięgę, wyrzekli się cara i ruszyli do samobójczej walki z regularną armią? I to ramię w ramię z Lachami? Ha!

– Pięćdziesiąt tysięcy rubli żołdu na sotnię – oznajmił zimno Teofil. – Miesięcznie.

Krasnow zamrugał nerwowo. Nie należał do najszybciej myślących, słabo też radził sobie z rachunkami, ale potrafił z grubsza oszacować, że wypadało po kilkaset rubli na żołnierza. To tyle, ile zarabiał carski oficer w ciągu roku! Cała fortuna.

– Skąd niby weźmiesz taką forszę, Pustowójtow? – wycedził.

– Nie martw się o to, esaule. Powiedz, ile sotni zdołasz przeciągnąć na naszą stronę, a ja przygotuję pieniądze. Przypominam, że Rząd Narodowy dysponuje skarbami pamiętającymi czasy potęgi Rzeczypospolitej. Słyszałeś pewnie, że obraduje pod samym nosem księcia Konstantego w podziemnym pałacu. Polacy dysponują potęgami, o jakich carowi się nawet nie śniło. Dowodem mogą być losy carskich oddziałów, które przed paroma chwilami zaatakowały folwark. Właśnie przestały istnieć. Wracajcie do koszar, nic tu po was. Zameldujcie, że piechurzy i dragoni zniknęli bez śladu, wpadli w turbulencję rzeczywistości lub inną anomalię.

– Chcę zobaczyć ten pierwszy żołd – odparł Krasnow i powoli opuścił kurek pistoletu. Schował broń do kabury. – Jeśli faktycznie możesz tyle płacić, propozycja jest godna przemyślenia.

– Wezwę was, gdy będziecie potrzebni. – Odmieniec skinął głową. – Czekać w gotowości.

Wyciągnął dłoń i pozwolił by z przedramienia wypłynęły mu srebrne i czarne węże mocy, niewidoczne dla zwykłych ludzi. Sięgnął nimi do duszącego się

chłopca, pozwalając, by wpiły się w jego ciało. Węże pochłoneły resztę czasu, która została wisielcowi i uderzyły nim w Pustowójtowa. Przyjął ukradzioną moc w swoje ciało. Trwało to mgnienie oka i kozakom nawet na myśl nie przyszło, że odmieniec zaczyna „czarować”. Nie wiedzieli, że skrócił cierpienia umierającego dziecka.

Przed oczami Teofila świat wyblakł i pociemniał. Ucichł szum wiatru, szelest gałęzi, prychanie koni wyciągnęło się, przeszło w basową nutę. Czas chłopca spalał się, wytwarzając wokół odmienca sferę szybszego upływu. Mógł teraz poruszać się niczym błyskawica, mógł kolejno poderżnąć każdemu kozakowi gardło, zanim ten choćby mrugnął. Odwrócił się jednak i po prostu odszedł.

Oczywiście skłamał, mówiąc o potędze Rządu Narodowego i jego niezmierzonych bogactwach. Buntownicy dysponowali tylko pieniędzmi ze składki narodowej, którą pilnie powtarzali od wybuchu powstania. Zbierali po miasteczkach i dworach podatek lub w ostateczności co łaska, nie mieli też żadnych podziemnych pałaców, jak wierzyli Rosjanie.

Krasnow potrząsnął głową. Sylwetka odmienca w jednej chwili się rozmasała i zniknęła. Kiedy esauł zamrugał i się rozejrzał, po Pustowójtowie nie było śladu.

– Co robimy, dowódco? – spytał któryś z kozaków.

– Wracamy do Radomia – odparł Krasnow. – Każdy ma trzymać gębę na kłódkę. Wierzę odmiencowi w sprawie naszych oddziałów. Nadziali się na formację polskich oborotenów, bandę takich jak ten demon. Major Ebeling i jego chłopcy już nie żyją. Nic tu po nas.

Zmierzył ponurym spojrzeniem żołnierza, który opuścił trupa dzieciaka z gałęzi i zdejmował mu z szyi pętlę, by odzyskać sznur. Krasnow poczuł dziwny niepokój. Wiedział, co odmieniec chciał mu przekazać, ignorując śmierć

dziecka. Nie poświęcił konającemu chłopcu najmniejszej uwagi, okrucieństwa nie robią na nim wrażenia. To znak, że sam zdolny jest do rzeczy znacznie gorszych.

Kozak przypomniał sobie złe czarne oczy Pustowójtowa i poczuł przebiegające po grzbiecie ciarki.

Doktor Stanisław Loewenhardt rzucił mokre od krwi szarpie sanitariuszce i zaczął owijać ramię ранego kosyniera pociętym w pasy płótnem. Potężny chłop tylko trochę się krzywił, choć przestrzelona na wylot ręka z pewnością bolała jak diabli. Pocisk przeorał mięśnie i wyleciał, nie uszkadzając żadnej arterii, nie trzeba też było dłubać w przestrzelinie, wystarczyło przemyć, powstrzymać krwotok i zabandażować. Jeśli nie prowadziło się operacji, niebezpieczeństwo ropnej gorączki gwałtownie malało. Stanisław zauważył już jakiś czas temu tę prawidłowość i podejrzewał, że gnicie ran i zakażenia po operacjach powodowało coś, co krążyło w powietrzu lub znajdowało się na ostrzu skalpela i szczypiec. Skażona moc? Morowe powietrze? Drobinki niewidoczne gołym okiem? Na wszelki wypadek młody lekarz zawsze starannie wycierał narzędzia, czasem nawet między poszczególnymi operacjami. Raz na tydzień kazał Wandzie myć je wodą, płukać alkoholem i wycierać do sucha.

– Wszyscy zdrowi? Nikt więcej nie oberwał? – Wychylił się zza drzwi i krzyknął w głąb korytarza.

Izba, pełniąca na co dzień funkcję buduaru gospodyni dworu, służyła od godziny za szpital polowy. Powstańcy wnieśli tylko do środka ławę, by zastępowała stół operacyjny, i gotowe. Wanda płukała szarpie w misie, postawionej na blacie gotowni – masywnego mebla pamiętającego czasy napoleońskie. Pełna

szufladek i szufladeczek komoda zaopatrzona została w owalne zwierciadło w grubej ramie, rzeźbionej w kwietne girlandy. Ruda sanitariuszka, tnąc płótno na bandażę i przepakowując zwitki szarpi, spoglądała w zwierciadło.

Odbicie jednak jej nie zachwyciło. Twarz miała pobladłą z wysiłku po użyciu mocy, przez co piegi odznaczały się jeszcze mocniej. Pod oczami pojawiły się wory ze zmęczenia i niewyspania, włosy sterczały na wszystkie strony. Fryzura aż ruszała się od wesz i pcheł, a tygodniowy brud wżarł się już niemal na stałe w skórę dziewczyny. Wyglądała teraz jak prawdziwa wiedźma. Nic dziwnego, że Stanisław ani raczył na nią spojrzeć. Na nic zdawały się powłóczyście spojrzenia i zalotne trzepotanie rzęsami. Doktor nie dostrzegał swojej pielęgnarki.

„Za to gdyby tylko pojawiła się tu Henia Pustowójtówna – pomyślała gorzko Żydówka – od razu zagotowałyby się z miłości”. Co miała w sobie ta cholera, że mężczyźni świata poza nią nie widzieli? Jak znaleźć to coś w sobie?

Na szczęście Heni, legendarnej już bojowniczką o Polskę, tu nie było. Służyła w stopniu adiutanta w armii generała Langiewicza i to jego aktualnie czarowała swymi głębokimi jak otchłań czarnymi oczyma. I pokaznym biustem.

Wanda krytycznie oceniła swoją wiotką, dziewczęcą sylwetkę. No nie, od powabu Heni Pustowójtówny dzieliła ją przepaść.

– Jest jeszcze jeden, panie doktorze! – rozległo się w sieni.

– Na co czekacie? Dawać go! – zakomenderował Loewenhardt. – Wandziu, obmyj, proszę, nożyce i skalpel. I w czystej wodzie, dziewczyno, nie w tej brei z krwią! Rusz się! Nie masz sił iść do studni czy co? Mam kogoś zawołać?

– Dam sobie radę. – Wanda zacisnęła zęby.

Właściwie ledwie już powłóczyła nogami. W uszach jej szumiało, usta wypełniał smak kurzu i ohydna słodkość migdałów – smak parującej ciągle mocy.

Powinna teraz w spokoju usiąść i odbyć medytację, by jak nauczał major Jemioła, uspokoić umysł, a potem porządnie się wyspać.

– Co za cholerny pech! – rozdarł się Muniek Węgorzewski.

Krępy i niewysoki chłopak, niewiele starszy od Wandy, został wprowadzony przez dwóch kosynierów. Chłopi podtrzymywali strzelca wyborowego pod ramiona, ten zaś podpierał się jedną nogą, drugą trzymając podkurczoną. W rękę ścisnął swój ulubiony karabin, belgijski sztucer, z którego potrafił ustrzelić Moskala z odległości pół wiorsty. Nie zdecydował się odłożyć broni, nawet gdy kładziono go na ławie.

Wanda załamała ręce. Muniek, jako jedyny w partii nieudolnie próbował zabiegać o jej względy, co trochę łechtało próżność dziewczyny. Lubiała chłopaka, jego toporne zaloty poprawiały jej humor. Węgorzewski był zdolnym i odważnym żołnierzem, od jakiegoś czasu pełnił nawet funkcję sierżanta w kompanii kapitana Pustowójtowa. To, że został ranny w potyczce, w której poległo tylko trzech powstańców, faktycznie zakrawało na cholerny pech.

– Wyobraźcie sobie, trafili mnie zupełnie przypadkowo! – oburzał się Muniek. – Pobieglem z kilkoma chłopakami ścigać niedobitki z rozbitej rotty. Jakies dwie wiorsty od folwarku dopadliśmy czterech uciekinierów. Jednego położyłem trupem, zanim się zorientował, że depczemy im po piętach, dwaj pozostali zostali zakłuci przez chłopców, trzeci próbował się poddać. Uklęknął i rzucił karabin. I na świętą Barbarę, broń wystrzeliła. Dostałem prosto pod kolano, coś takiego!

– Jak to na wojnie. – Loewenhardt wzruszył ramionami, pochylając się nad chłopakiem. – Zabłąkane kule, pomyłkowe ostrzały, bywa. Zdejmuj spodnie.

– Przy Wandzi? – obruszył się strzelec. – Mowy nie ma!

– Jestem sanitariuszką – dumnie odparła dziewczyna. – Widziałam ciekawsze rzeczy niż twoje gołe nogi i jakoś żyję.

Wreszcie Loewenhardt pomógł chłopakowi i zdarł z niego spodnie oraz ka-lesony, po czym obejrzał dziurę wlotową od kuli i skrzywił się, kręcąc głową. Wanda spojrzała ponad ramieniem lekarza. Nie studiowała medycyny, właściwie nigdy nie chodziła do szkoły, ale domyśliła się, że sprawa jest poważna. Kula strzaskała kość piszczelową i utkwiała pod kolanem. Zapowiadała się długa i skomplikowana operacja, a szanse na to, że Muniek przeżyje leczenie, nie były wysokie. Przy uszkodzeniach kości często dochodziło do gangreny lub ropnej gorączki. Poza tym ciężiej rannych powstańców po prostu się zostawiało, licząc, że zostaną wykurowani przez dobrych ludzi lub przynajmniej oszczędzeni przy wzięciu do niewoli.

– Chyba będę musiał odciąć – oznajmił ponuro Loewenhardt. – To daje największe szanse na przeżycie.

– Co odciąć? – Muniek zbladł. – Moją nogę? Jak to odciąć?

– Panie doktorze, ech, Stasiu – bąknęła przerażona Wanda. – Nie mamy już ani kropli eteru.

Butelka z cudowną substancją usypiającą została opróżniona jakiś czas temu i aktualnie w zasobach polowego szpitala nie znajdowały się żadne inne specyfiki uśmierzające ból. Muniek zrozumiał, że chcą mu odpiłować nogę na żywca i podpierając się karabinem, próbował wstać i uciec.

Loewenhardt oparł się oburącz o jego ramiona i posadził go siłą z powrotem. Odwrócił się do Wandy:

– Idź do kuchni, niech zagotują trochę wody. Przyprowadź dwóch silnych chłopów do przytrzymania pacjenta i znajdź jakiś gruby patyk. Muniek musi mieć w co wbić zęby, gdy będziemy amputować.

– Co to znaczy amputować?! – ryknął strzelec. – Nie zgadzam się! Puść mnie pan, do jasnej cholery!

Wanda, zataczając się z wrażenia, wyszła na korytarz. Tak jej było szkoda sympatycznego strzelca. Przywykła do jego adoracji i traktowała go jak kogoś z rodziny, powiedzmy – niesfornego, ale wesołego kuzyna.

Wparowała do kuchni, gdzie zastała właścicielkę dworku, starszą, dystygowaną damę, w towarzystwie kucharki i pokojówki. Wszystkie trzy piły herbatę z samowara, poblądłe i wystraszone niedawną strzelaniną. Poderwały się na równe nogi, gdy Wanda chaotycznie wyrecytowała listę żądań. Dziedziczka osobiście pobiegła do drewnutni szukać klina do gryzienia dla operowanego, kucharka zabrała się do rozniecania żaru w piecu, by nastawić gar wody, a pokojówka pobiegła po nici do podwiązania żył po amputacji.

Wanda wybiegła przed dwór szukać silnych mężczyzn do przytrzymania strzelca. Na samym ganku wpadła jednak wprost w ramiona Pustowójtowa. Rosjanin akurat wchodził do środka w towarzystwie majora Jemioły. Dziewczyna odbiła się od jego piersi i Rosjanin odruchowo ją przytrzymał.

– Łapy precz, bydlaku! – wrzasnęła, natychmiast sięgając po moc.

Jej głos zadźwięczał w uszach Teofila niczym dzwon. Oficer odepchnął rudą wiedźmę i zasłonił uszy, krzywiąc się z bólu. W jego czarnych oczach błysnęła złość. Wysłano go jako szpiega, by zabił między innymi tę przeklętą Żydówkę; miał ku temu już tyle okazji, ale się wahał. I po co? Powinien już dawno skrócić tej cholery kark. Powtarzała tylko o nim paskudne historie, plotkowała o jego napadach szału i popełnionych zbrodniach. Wstrętna, mała jędza.

– *Pax!* – zakomenderował uśmiechnięty Jemioła. – Pogodźcie się kiedyś czy będzie się nieustannie szarpać i popychać? Co się dzieje, Wandzia?

– Muniek oberwał, Staś chce mu urznąć nogę! Potrzebujemy kogoś do pomocy.

Jemioła obrócił sanitariuszkę, pchnął z powrotem do środka i kazał się prowadzić do lazaretu. Wszyscy w oddziałach dobrze znali i lubili Muńka, łącznie z dwoma dowódcami. Nawet Pustowójtowa mocno zmartwiła informacja o fatalnej kontuzji strzelca. Węgorzewski był doskonałym snajperem i nieraz już pokazał, co potrafi. Nikt w partii Jemioły nie zabijał tak precyzyjnie. Szkoda byłoby stracić dobrego żołnierza.

– Neeee! – Muniek odpychał karabinem czerwonego ze złości Loewenhardta.

Obaj siłowali się na operacyjnej ławie. Na widok dwóch dowódców wchodzących do buduaru natychmiast przerwali starcie. Doktor wyprostował się i poprawił kamizelkę, piorunując Węgorzewskiego wzrokiem. Nie miał w zwyczaju bić się z pacjentami, ale ten rozwrzeszczany cwaniak z sandomierskiego grał mu na nerwach. Jeszcze chwila i ranny dostałby w zęby.

– Uspokój się, Muniek – zakomenderował krótko Jemioła. – Nie mamy czasu na przepychanki, lada chwila ruszamy w dalszą drogę. Musimy stąd zniknąć, bo po dzisiejszej bitwie w okolicy zaroi się od Moskali. Generał Uszakow z pewnością wyśle cały pułk, by nas upolować.

– Nie zostawicie mnie tutaj!

– Nie marudź.

– Dokąd ruszamy?

– Lepiej, byś nie wiedział.

– Czyli jednak mnie zostawicie! – ryknął Muniek. – Nie chcecie, bym coś wygadał, gdy zgarną mnie Rosjanie. Idę z wami.

– Doktorze? – Jemioła zwrócił się do Loewenhardta.

– Amputacja jest konieczna, by pacjent przeżył. W innym wypadku musiałbym przeprowadzić długą operację, ale nie mamy na to ani czasu, ani środków medycznych. Bez znieczulenia zabieg jest niemożliwy. Musimy ciąć, nim dojdzie do gnicia.

Pustowójtow podszedł do strzelca i spojrzał na niego spod krzaczastych brwi. Muniek natychmiast się uspokoił. Teofil był jedną z niewielu osób, które budziły respekt w Węgorzewskim. Rosjanin przyglądał mu się, jakby rozważał przydatność żołnierza i szacował, czy jakikolwiek wysiłek dla niego ma sens. Muniek zorientował się, że ważą się jego losy. Usiadł prosto i wypiął pierś, by wyglądać na dzielnego i cennego wojaka.

– Mógłbym mu pomóc, ale potrzebuję źródła czasu. Potrzebuję ofiary.
– Teofil spojrzał kolejno na obecnych.

Wszyscy, nie wyłączając Jemioły, poczuli się nieswojo. Wzrok Rosjanina kojarzył mu się ze spojrzeniem drapieżnika, który szuka czegoś do pożarcia. Wanda zacisnęła pięści, poczuła, jak głosy cisną się jej do głowy i proszą, by je wykrzyczała, najlepiej prosto w twarz przekłętego odmieńca, którego nikt nie lubił, za to wszyscy się go bali. Przyłączył się do powstańców niby jako dezerterski z carskiej armii, ale i tak od początku podejrzewano go o szpiegostwo. Wanda zawsze była pewna, że Pustowójtow to drań i zwyrodniały morderca.

– Może użyje pan mojego czasu, kapitanie? – nieśmiało spytał Muniek.

– Dobry pomysł, chłopcze. Spróbuję pomóc, ale wiedz, że spalę część twojej energii życiowej. Nie dożyjesz późnej starości – ostrzegł oficer. – Niech wszyscy się odsuną.

– Nie rób tego, Muniek! – ostrzegła Wanda. – Zdaj się na umiejętności Stasia.

Strzelec spojrzał na nią i uśmiechnął się niepewnie, potem przeniósł spojrzenie na oficera. Skinął twierdząco głową. Pustowójtow pchnął go lekko w pierś, zmuszając, by ponownie położył się na ławie. Chłopak miał niepewną minę. Nagle zastygł w połowie gestu, z oczami wbitymi w oficera. Pustowójtow wodził chwilę dłonią nad ciałem Muńka. Wanda poczuła znajomy zapach mocy, kiedy powietrze zaiskrzyło wokół odmieńca i jego ofiary.

– Bierz się pan do roboty, panie doktor – wycedził przez zęby Teofil.
– Wyjmij kulę, szybko.

Loewenhardt nie zadawał pytań, już kiedyś zetknął się z mocami przywoływany przez Pustowójtowa. Wiedział, że ten potrafi objąć jakąś osobę lub obszar energią mutatio i zmieniać wewnątrz upływ czasu. Muniek wyglądał właśnie na dramatycznie spowolnionego. W tej chwili czas dla niego płynął setki razy wolniej i w jego spowolnionym czasie operacja zajmie nie długie minuty, lecz ułamek sekundy.

Lekarz złapał za skalpel i szybko poszerzył ranę, by móc w nią włożyć szczypce do wyciągania kul. Wanda podała mu je bez słowa. Loewenhardt mruknął pod nosem z wrażenia. Przecięta tkanka zupełnie nie krwawiła, a pacjent nie czuł bólu. Jego organizm nie zorientował się jeszcze, że coś się dzieje. Władając tak potężną mocą, jakże wiele dobrego mógłby uczynić rosyjski odmieńiec, gdyby zgodził się asystować przy operacjach! Jak wielkie możliwości otworzyłoby to przed światem nauki! Dałoby się nawet prowadzić operacje na otwartym sercu, otworzyć brzuch kobiety w ciąży bez szkody dla płodu lub dokonać zabiegu na mózgu. Niesamowite!

Wydobyta nie wiedzieć kiedy kula brzdąknęła o dno blaszanej misy. Loewenhardt, zadowolony z siebie i tego, że miał okazję przeprowadzić tak niezwykle zabieg, uśmiechnął się do Pustowójtowa. Po czole odmieńca spływały

krople potu. Oficer nieustannie wodził dłonią nad operowanym. Wszyscy obecni wiedzieli, że splata węże upływającego czasu, ujarzamia je i zmusza do zmiany rzeczywistości. Wanda, porwana jakimś niezrozumiałym dla niej odruchem, wytarła szmatką czoło Rosjanina.

– Mam zszywać ranę? – spytał Loewenhardt.

Pustowójtow tylko odmownie pokręcił głową. Skupił się na niezwykłym splocie. Czuł, jak bystry srebrny wąż mocy przepływa mu między palcami. Zduślił go i pchnął w ranę. W punktowo wybranych miejscach nogi operowanego czas zaczął gwałtownie przyspieszać. Krew wpierw trysnęła z przeciętych tkanek, by po sekundzie zakrzepnąć w strup. Na oczach zachwyconego lekarza, Wandy i majora Jemioły rana zaczęła się zblizniać. Tkanki łączyły się ze sobą, strup odpadł, odsłaniając gojącą się, różową bliznę, która po chwili ściemniała i zastygła. Pustowójtow westchnął z ulgą i odsunął się w tył.

Węgorzewski nagle ożył. Ryknął na całe gardło jak oszalały. W jednej chwili poczuł, jakby ktoś wetknął mu w ranę rozpalony pręt. Mięśnie całego jego ciała spięły się i zadygotały w szoku. Jemioła i Loewenhardt doskoczyli do chłopaka i oburącz go przytrzymali.

– Co się stało?! – wysapał Muniek.

– Jesteś zdrowy – odparł Pustowójtow. – Noga będzie cię rwała, szczególnie przed zmianą pogody, ale możesz chodzić, a nawet biegać. Zabieg pożarł kilka dobrych lat twego żywota, mnie zaś przyprawił o ból głowy. Muszę się napić.

Jemioła uśmiechnął się promiennie i serdecznie uściskał zaskoczonego tą wylewnością Teofila.

– Cieszę się, że mam takich ludzi w oddziale. Wszyscy jesteście wspaniali. – Major wręcz promieniał. – Wódkę dostaniesz dopiero wieczorem, Teofilu. Teraz pora zbierać ludzi do wymarszu.

Muniek zeskoczył z ławy i zrobił kilka kroków. Dосkoczył do Pustowójto-wa i uściskał mu dłoń. Teofil, ku własnemu zaskoczeniu, mimo wyczerpania i mdłości, poczuł się dobrze. Ogarnęły go dziwna euforia i poczucie spełnienia. Poczochnął czuprynę chłopaka i odpowiedział uśmiechem.

– Dokąd ruszamy, Janku? – zwrócił się do Jemioły.

– Na południe, odnaleźć armię generała Langiewicza – odparł dowódca.

– Muszę złożyć mu pewną propozycję. Propozycję wzięcia udziału w operacji, od której będzie zależał dalszy przebieg tej wojny. I los nas wszystkich.

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje

Andrzej W. Sawicki: KOLCE W KWIATACH

Zbiór opowiadań ze świata powieści „Nadzieja czerwona jak śnieg” oraz „Furia błękitna jak ogień”.

Połowa XIX stulecia. W Warszawie, w okopach oblężonego Sewastopola, na dalekich stepach Syberii, w prowincjonalnych, polskich miasteczkach, trwają przygotowania do buntu, który może zmienić oblicze świata. Obdarzeni boskimi mocami odmieńcy muszą zdecydować, po której stronie stanąć w nadchodzącym konflikcie.

Zanim kosynierzy runą na rosyjskie rotty, zanim strzelcy wymierzą broń w Dońców i carskich dragonów, ci od których zależą losy batalii, muszą się odnaleźć.

Nadeszła dla nich pora, by wybrać drogę.

SZABLĄ I WĄSEM. ANTOLOGIA OPOWIADAŃ SARMACKICH

Autorzy: Andrzej W. Sawicki, Monika Sokół, Agnieszka Hałas, Stanisław Truchan, Tomasz Kilian, Dawid Juraszek

Szablą i wąsem, ogniem i mieczem, kontuszem i dworkiem.

Prawdziwych Sarmatów już nie ma. Co się nam ostało? Ogień i miecze, potopy, Wołodyjowskie pany... Wilcze gniazda, diabły łańcuckie, samozwańce.... Charakterniki, szubieniczniki i lichy wie, co jeszcze... No i fajnie, ale czy fikcyjni Sarmaci muszą być wszyscy na jedno kopyto?

„Szablą i wąsem” to zbiór opowiadań polskich autorek i autorów, którzy Sarmacji nadmierną rewerencją nie darzą i opowiedzieć chcą o niej inne, świeższe historie. A opowiadać jest przecież o czym. Czasy Pierwszej Rzeczypospolitej to sensacje, thrillery i komedie pisane historią, której niestety albo się wstydzimy, albo którą się chęlimy, zamiast po prostu się nią interesować. Zebrane w tym tomie opowiadania gromko jednak krzyczą „Veto!” i na spuściznę po Sarmacji patrzą z nowego punktu widzenia, czasem trzeźwo, czasem krzywo, a czasem zezem.

Od latających machin królowej Ludwiki, przez patriotyzm diabła Boruty, po alternatywne oblężenie Jasnej Góry – ten fantastyczny zbiorek bez czołobitności wyciąga z legendy i historii Sarmacji to, o czym wciąż warto snuć opowieści.

Agnieszka Hałas: PO STRONIE MROKU

Piekło ma wiele obliczy, a wszystkie one stanowią część planów Stwórcy. Na odwieczną machinę przeznaczenia składają się miliony pojedynczych trybików. Takich jak hiszpański alchemik El Claro, wojownicza Sangre Veland, rudy demon Samir von Katzenkrallen czy jedenaścieletnia strzyga Maszka. Dwanaście opowiadań połączonych wspólnym motywem Szeolu zabierze was w podróż przez różne czasy i miejsca – od współczesnej codzienności po rubie-

że zaświatów, od średniowiecznych Karpat po zbombardowane Nagasaki i płonące World Trade Center.

Radosław Lewandowski: YGGDRASIL. STRUNY CZASU

„Struny czasu” opisują zmagania kilkudziesięcioosobowej średniowiecznej społeczności, przeniesionej przypadkowo i bezpowrotnie w okres paleolitu środkowego, w czasy gdy po ośnieżonych równinach dzisiejszej Europy wędrowały olbrzymie stada reniferów, dzikich koni i ciągnących w ślad za nimi drapieżników. Potężne mamuty nie miały godnych siebie przeciwników, z wyjątkiem mrozu i prymitywnych słabo uzbrojonych łowców, którzy równie często występowali w roli myśliwego co ofiary.

Wraz z mieszkańcami wioski, w przeszłość zostaje przeniesiony niewielki oddział Wikingów, najemników, których Thor wystawił na najcięższą próbę w drodze do Walhalli. Temporalni podróżnicy, a wraz z nimi cała ludzkość, stają w obliczu wielkiego niebezpieczeństwa.

Kontynuacja serii w powieści „Yggdrasil. Exodus”.

Dawid Juraszek: JEDWAB I PORCELANA, tomy I, II, III i IV

„Jedwab i porcelana” to orientalna powieść drogi – drogi wiodącej przez labirynty przeznaczenia i przypadku, przez mroczne tajemnice ludzi i bóstw, przez obce krainy rodem z mitów i annałów, przez zakamarki skrywanych namiętności i rwących się do urzeczywistnienia marzeń.

O Chinach nikt jeszcze w Polsce tak nie pisał. Cesarstwo Środka to miejsce, gdzie ścierają się siły ludzkie i moce nadprzyrodzone, gdzie niebezpieczeństwo nigdy nie jest daleko, a przygoda zawsze zaskakuje. Pośród bitewnego zgiełku, upiornych nawiedzeń i cielesnych pokus bakałarz Xiao Long zмага się z własnymi demonami i samym sobą. *Jedwab i porcelana* to opowieść o Chinach i Chińczykach, opowieść jak ze snu – snu, z którego trudno się otrząsnąć.

Zapraszamy do lektury czterech fascynujących tomów: „Biały tygrys”, „Niebieski smok”, „Czerwony ptak” i „Czarny żółw”.

Dawid Juraszek: CAIREN. DRAPIEŻCA

Gdyby Marco Polo był Conanem Barbarzyńcą... miałby na imię Cairen!

Dziesięć wartkich opowiadań. Dziesięć orientalnych przygód z prężeniem mięśni i przymruczeniem oka. A w nich bez liku zaginionych cywilizacji, walnych bitew, powabnych dziewczek, groźnych monstrów, magicznych sztuk, starożytnych grobowców, literackich nawiązań, i czego tam jeszcze.

Pośród szczęku mieczy, szabli, koncerzy, sztyletów, kindżałów, pugałów i handzarów, jęku cięciw, bąjań mędrców i westchnień rozkoszy... W ociekających przepychem pałacach Czun-gii, przedwiecznych ruinach miast Goryo, podmorskich grotach potworów Nipponii, przybytkach zmysłowych uciech Syamii... Ramię w ramię i twarzą w twarz z Mengutami, Tuerami, Malajami, Jugurami, Manczami i Parsami... Przez spienione grzywacze Oceanego Morza,

niezłębione dżungle Kmerii, śnieżne pustkowia Xybelii, monsunowe ulewy Czamby... Wszędzie tam, bez zbytej rewerencji dla chanów, szejków, cesarzy, kalifów, sułtanów, królów, szachów, szogunów czy maharadzów, dumnie, butnie i zuchwale kroczy CAIREN!

Joanna Łukowska: PIERWSZA Z RODU: ZNAJDA

To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Estera pisze pamiętnik, licząc, że ktoś go przeczyta; o ile po latach mroku ktoś jeszcze będzie umiał czytać. Rosa, młody przywódca skrzatów z Boru, rozmyśla o nieciekawej sytuacji swych pobratymców. Wielebna Maura czyni wyrzuty pozbawionej uczuć Pustej z powodu zagubienia Obiektu. Jakim sposobem dzieciak wymknął się z sieci? A jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka? Milczy i uśmiecha się szczerbato, odważnie patrząc w mroczną twarz Boru. Skrzatów też się nie boi, choć nie należą one do codzienności ludzkich szczeniąt. Kim jest to dziecko?

„Znajda” to opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że Droga jest ważniejsza od Celu. Bo choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści teraźniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.

Maciej Żytowiecki: SZUJE, MĄTWY I STRACEŃCY

Od kryminału po urban fantasy. Od science-fiction po dramat. Jedenaście fantastycznych tekstów i jeden autor.

Latająca wyspa plemienia Wilg i Polska okresu PRL-u. Mroczne zaułki Chicago i obca planeta zamieszkała przez nadistoty. Nieodległa przyszłość i czasy barbarzyńców. Poznań i tajemnicza Asylea, gdzie osiadł pewien upiór.

Trzymajcie się mocno.

Jedenaście opowiadań. Dziesięciu bohaterów. A wszyscy to szuje, mątwy albo straceńcy.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Marek Hemerling: PILLON I SYNOWIE

Reguły gry zostały ustalone dawno temu przez założyciela firmy – Dominika Pillona. Testament określał je bardzo precyzyjnie. Pillon i synowie. Jego synowie. Niektórzy już odeszli, niektórzy jeszcze się nie urodzili, czekając spokojnie na swoją szansę w bezpiecznych objęciach niskich temperatur. Filip jest po prostu jednym z nich – młodszym Pilonem, Pilonem w fazie szkolenia. Wychowany przez zastępczą matkę, pod czujną, choć dyskretną opieką starszych braci, nie ma jeszcze pojęcia, jaka go czeka przyszłość. Wszystko w swoim czasie.

Jego biologiczni rodzice nie żyją od ponad wieku. Założona przez ojca firma wciąż ma niezłe notowania. Życie bez zbędnej filozofii toczy się normalnym rytmem. Bracia trzymają rękę na pulsie. Dbają o własny interes, realizując przy okazji testament Dominika Pillona.

Tymczasem Łagodny Olbrzym wciąż drzemał ukryty w cieniu Dominium...

Konrad T. Lewandowski: MOST NAD OTCHŁANIĄ

Osobliwy świat, gdzie ruch gwiazd i planet nie podlega żadnym regułom. Potężne państwo-miasto, o władzę nad którym walczą dwa stronnictwa. Doskonały styl sprawia, że czytelnik wyrusza wraz z autorem w podróż niezwykłą, daleko i blisko jednocześnie. Bo choć tam, gdzie toczy się akcja, nic nie jest takie samo, to jednocześnie wszystko wygląda jakby znajomo... przynajmniej jeśli chodzi o ludzkie motywacje, pragnienia bohaterów i nieuniknioną logikę dziejów.

Powieść epicka i kameralna zarazem, fantastyczna i uniwersalna, gdzie w walce między ludźmi i ideami nic nie jest tak oczywiste, jak się wydaje stronom konfliktu, a racja jak zwykle leży gdzieś pośrodku, gdzieś wysoko ponad nimi... A może gdzieś nisko, tam, gdzie nie sięga nawet Otchłani?

Polityczne i religijne rozgrywki toczyły się poza Andreilem. Jak każdy potomek Starych Rodów ukończył Akademię wojskową, ale z tą starą tradycją nie łączyły się żadne obowiązki. Do armii garnęło się dość nuworyszy i zubożałych mieszczan, żeby synowie arystokratów mogli spokojnie zajmować się winem, niewolnicami i poezją. Andreil, któremu ojciec kupił patent oficerski, nigdy nie podejrzewał, że będzie musiał walczyć naprawdę! Aż tu nagle przyszedł rozkaz od doży wysyłający niedoświadczonego porucznika w pole. Co się kryło za tą zaskakującą decyzją? Młodzieńca poraził strach. Jeszcze wczoraj był na balu, a teraz czekała go walka, w której najpewniej zginie. Jak postąpi Andreil? Wykaże się odwagą i przebiegłością czy zapomni o honorze, byle uratować życie?

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmacną nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Aleksander Kowarz: RYDWAN BOGÓW

Fotoreporter, dwoje egiptologów, franciszkanin i nie taka całkiem zwyczajna turystka zostają przez przypadek towarzyszami niezwyklej podróży, która zaprowadzi ich w miejsca, o jakich nie śnili. A wszystko to za sprawą złotego skarabeusza, znalezionej w pobliżu Kazimierza Dolnego, który okazuje się kluczem do wielkiej zagadki.

Pięć tysięcy lat wcześniej w równie niezwyklej podróż wybrali się kapłan Świątyni Horusa Sefian i jego syn. Sefianowi została powierzona delikatna i ważna misja, a niepowodzenie nie wchodzi w rachubę.

Losy obu grup, choć dzielą ich tysiące lat, są ze sobą ściśle powiązane za sprawą tytułowego Rydwanu Bogów. Czym jest, dlaczego jest tak ważny i dlaczego wszyscy chcą nim zawładnąć? Piątka towarzyszy musi znaleźć odpowiedzi na te i inne pytania, aby móc wrócić do domu.

Fascynująca powieść, w której odległa przeszłość przeplata się z teraźniejszością, magia z wiarą, miłość z powinnością, a przeznaczenie z misją.